



NIEZNANE

ŻYCIE JEZUSA

## **Nieznane Życie Jezusa**

*Oryginalny i nieocenzurowany opis podróży i odkrycia manuskryptów w buddyjskim klasztorze Himis, wraz z przedstawieniem ich treści, zgodnie z wydaniem z 1887 r.*

Autor: Nikolaj Aleksandrowicz Notowicz

Tytuł oryginalny: Unknown Life of Jesus Christ

Research i opracowanie tekstu: Wydawnictwo Horyzont Idei

© Polskie Wydawnictwa Niezależne, Damian Tarkowski,

Wydawnictwo Horyzont Idei, 2022

Wydanie pierwsze, Toruń 2022

ISBN: 978-83-65185-33-4

Tłumaczenie i redakcja:

Adrianna Krawczyk, Damian Tarkowski

Adres internetowy:

[www.hoid.pl](http://www.hoid.pl); [www.sklep.hoid.pl](http://www.sklep.hoid.pl);

Facebook:

[www.facebook.pl/HORYZONTIDEI](https://www.facebook.com/HORYZONTIDEI)

E-mail: [kontakt@hoid.pl](mailto:kontakt@hoid.pl); [damtar@hoid.pl](mailto:damtar@hoid.pl)

Tel: (+48) 723 761 373

NIP: 9562251232

mBank: 34 1140 2004 0000 3702 7847 3507

Dziękujemy za zakup oryginalnego e-booka!

Wesprzyj naszą działalność, zakupując książki, e-booki i audiobooki Wydawnictwa Horyzont Idei dostępne na naszej stronie internetowej: [www.sklep.hoid.pl](http://www.sklep.hoid.pl) oraz u naszych partnerów na platformach:

[ibuk.pl](http://ibuk.pl); [ebookpoint.pl](http://ebookpoint.pl); [virtualo.pl](http://virtualo.pl); [publio.pl](http://publio.pl); [woblink.com](http://woblink.com); [legimi.pl](http://legimi.pl); [empikGO](http://empikGO), [audioteka.pl](http://audioteka.pl), [storytel.pl](http://storytel.pl), [nieznany.pl](http://nieznany.pl), i in.

Współpracujemy także z autorami oryginalnych tekstów w języku polskim oraz z innymi wydawnictwami w zakresie udostępniania licencji oraz praw autorskich do nagrań audio lub wydawnictw drukowanych.



# SPIS TREŚCI:

Przedmowa

Podróż po Tybecie

Ladakh

Festiwal w Gonpie

Życie świętego Issy, „najlepszego z synów ludzkich”.

I.

II.

IV.

V.

VI.

VII.

VIII.

IX.

X.

XI.

XII.

XIII.

XIV.

Podsumowanie zawierające hipotezy Autora

## PRZEDMOWA

**P**o zakończeniu wojny tureckiej (trwała od 1877 do 1878 roku) odbyłem serię podróży po krajach Orientu. Z małego niezwykłego Półwyspu Bałkańskiego, udałem się przez Kaukaz do Azji Środkowej i Persji, a w końcu, w 1887 roku, odwiedziłem Indie, kraj godny podziwu, który pociągał mnie od najwcześniejszego dzieciństwa. Moim celem w tej podróży było studiowanie i poznanie ludów, które zamieszkują Indie i ich zwyczajów, poznanie wielkiej i tajemniczej archeologii oraz kolosalnej i majestatycznej natury tego kraju. Wędrując bez ustalonych planów, z jednego miejsca do drugiego, dotarłem do górzystego Afganistanu, skąd przedostałem się do Indii drogą przez malownicze przełęcze Bolan i Guernai. Następnie, idąc w górę Indusu do Raval Pindi, przejechałem przez Pendżab – krainę pięciu rzek; odwiedziłem Złotą Świątynię Amritsy – grobowiec króla Pendżabu, Randżida Singha, niedaleko Lahaur; i skierowałem się w stronę Kaszmiru, „Doliny Wiecznej Błogości”. Potem skierowałem moje kroki tak, jak prowadziła mnie ciekawość, aż dotarłem do Ladakhu, skąd zamierzałem wrócić do Rosji drogą przez Karakorum i Chiński Turkiestan.

Pewnego dnia, odwiedzając buddyjski klasztor położony na mojej trasie, od głównego lamy dowiedziałem się, że w archiwach w Lhasie znajdowały się starożytne pamiątki odnoszące się do życia Jezusa Chrystusa i narodów zachodnich, i że niektóre wielkie klasztory posiadały stare kopie i tłumaczenia tych kronik.

Ponieważ było mało prawdopodobne, że kiedykolwiek będę mógł jeszcze odbyć kolejną podróż do tego kraju, postanowiłem odłożyć mój powrót do Europy na późniejszy termin i, za wszelką cenę, albo znaleźć te kopie w wielkich klasztorach, albo udać się do Lhasy – odbywając podróż, która nie jest tak niebezpieczna i trudna, jak się powszechnie uważa, a wiąże się z takimi tylko niebezpieczeństwami, do których byłem już przyzwyczajony i które nie mogły wpłynąć na moją decyzję o podróży.

Podczas mego pobytu w Leh, stolicy Ladakhu, odwiedziłem wielki klasztor Himis, położony w pobliżu miasta, którego główny lama poinformował mnie, że ich biblioteka klasztorna zawiera kopie manuskryptów, o których mowa. Aby nie wzbudzać podejrzeń władz, co do celu mojej wizyty w klasztorze, i aby uniknąć przeszkód, które mogłyby mnie napotkać ze względu na moje rosyjskie pochodzenie – i móc spokojnie kontynuować moją podróż po Tybecie – po powrocie do Leh dałem znać, że wyjeżdżam do Indii, i tak opuściłem stolicę Ladakhu. Niefortunny upadek, który spowodował złamanie nogi, dostarczył mi zupełnie nieoczekiwanego pretekstu do powrotu do klasztoru, gdzie otrzymałem pomoc chirurgiczną. Skorzystałem z mojego krótkiego pobytu wśród lamów, aby uzyskać zgodę ich przywódcy na przyniesienie mi z ich biblioteki manuskryptów odnoszących się do Jezusa Chrystusa, i wspomagany przez mojego tłumacza, który przetłumaczył dla mnie język tybetański, starannie spisałem w notatniku to, co lama mi przeczytał.

Nie wątpiąc w autentyczność tej kroniki, zredagowanej z wielką dokładnością przez bramińskich, a szczególnie buddyjskich historyków Indii i Nepalu, pragnąłem, po moim powrocie do Europy, opublikować jej tłumaczenie.

W tym celu zwróciłem się do kilku powszechnie znanych dostojników kościelnych, prosząc ich o recenzję i ocenę moich

notatek.

Biskup Platon, sławny metropolita kijowski, uważał, że moje odkrycie ma wielkie znaczenie. Mimo to starał się odwieść mnie od opublikowania tych wspomnień, uważając, że ich upowszechnienie może mi tylko zaszkodzić. „Dlaczego?” – tego czcigodny prałat nie chciał mi powiedzieć bardziej wprost. Ponieważ jednak nasza rozmowa miała miejsce w Rosji, gdzie cenzor postawiłby weto wobec takiego dzieła, postanowiłem poczekać.

Rok później znalazłem się w Rzymie. Pokazałem mój rękopis kardynałowi, bardzo bliskiemu Ojcu Świętemu, który odpowiedział mi dosłownie tymi słowami: „Co dobrego przyniesie wydrukowanie tego? Nikt nie przywiąże do tego wielkiej wagi, a pan stworzy sobie wielu wrogów. Ale, jest pan jeszcze bardzo młody! Jeśli chodzi o pieniądze, mogę zażądać w nagrodę za pańskie notatki, sumy, która zwróci pańskie wydatki i zrekomensuje stratę czasu”. Oczywiście, odmówiłem.

W Paryżu rozmawiałem o moim projekcie z kardynałem Rotellim, którego poznałem w Konstantynopolu. On również był przeciwny temu, aby moje dzieło zostało wydrukowane, tłumacząc to pretekstem, jakoby było na to „zbyt wcześnie”. „Kościół”, dodał, „cierpi już zbyt mocno z powodu nowego prądu ateistycznych idei, a ty w ten sposób tylko dasz nowy pokarm heretykom i obalaczom doktryny ewangelicznej. Mówię to w interesie wszystkich kościołów chrześcijańskich”.

Następnie udałem się do pana Jules'a Simona. Uznał on moją sprawę za bardzo interesującą i poradził mi, abym zapytał o opinię Ernesta Renana, co do najlepszego sposobu opublikowania tych wspomnień. Następnego dnia siedziałem w gabinecie wielkiego filozofa. Na zakończenie naszej rozmowy, Ernest Renan zaproponował, abym powierzył mu wspomniane pamiętniki, aby mógł złożyć Akademii raport na temat odkrycia.

Propozycja ta, jak można łatwo zrozumieć, była bardzo kusząca i pochlebna dla mojego *amour propre*, poczucia własnej wartości. Zabrałem jednak rękopis ze sobą, pod pretekstem jego dalszej rewizji. Przewidywałem, że gdybym przyjął tę propozycję, przypadłby mi w udziale jedynie zaszczyt uznania za odnalezienie kronik, podczas gdy znakomity autor „Życia Jezusa” zagarnąłby całą chwałę za publikację i komentarz do tego materiału. Uważałem się za dostatecznie przygotowanego do opublikowania tłumaczenia kronik, i opatrzenia ich moimi notatkami, i dlatego nie przyjąłem tej bardzo łaskawej oferty, którą mi złożył. Ale, aby nie zranić uczuć wielkiego mistrza, do którego czułem głęboki szacunek, postanowiłem opóźnić publikację do czasu jego śmierci, która nie mogła być odległa, jeśli sądzić po widocznej ogólnej słabości Renana. W krótkim czasie po jego śmierci napisałem ponownie do Julesa Simona z prośbą o radę. Odpowiedział mi, że to moja sprawa, aby ocenić okoliczności do upublicznienia wspomnień.

Dlatego uporządkowałem moje notatki i teraz je publikuję, zastrzegając sobie prawo do możliwości udowodnienia autentyczności tych kronik. W moich komentarzach przedstawiam argumenty, które muszą wystarczyć, aby przekonać o szczerości i dobrej wierze buddyjskich kompilatorów. Chciałbym dodać, że przed podjęciem krytyki mojej publikacji, stowarzyszenia naukowców mogą, bez większych kosztów, wyposażyć ekspedycję naukową mającą za misję zbadanie tych manuskryptów na miejscu, gdzie je odkryłem, i w ten sposób łatwo zweryfikować ich wartość historyczną.

Nikolai Notowicz



## PODRÓŻ PO TYBECIE

**P**odczas mego pobytu w Indiach, często miałem okazję rozmawiać z buddystami, a ich opowieści o Tybecie podniecały moją ciekawość do tego stopnia, że postanowiłem odbyć podróż do tego wciąż prawie nieznanego kraju. W tym celu wyruszyłem na trasę przecinającą Kaszmir, który od dawna zamierzałem odwiedzić.

14 października 1887 roku wsiałem do wagonu kolejowego zatłoczonego żołnierzami i udałem się z Lahaur do Rawalpindi, dokąd dotarłem następnego dnia, koło południa. Po krótkim odpoczynku i obejrzeniu miasta, któremu stale stacjonujący tam garnizon nadaje wygląd obozu wojskowego, zaopatrzyłem się w rzeczy niezbędne do podróży po kraju, w którym konie zastępują wagony kolejowe. Wspomagany przez mojego sługę, tamtejszego człowieka z Puducherry, spakowałem cały mój bagaż, wynająłem *tonga* (dwukołowy pojazd ciągnięty przez dwa konie), usadowiłem się na tylnym siedzeniu i wyruszyłem malowniczą, prowadzącą do Kaszmiru, doskonałą drogą, po której szybko się przemieszczaliśmy. Musieliśmy użyć nie lada umiejętności, aby przebić się przez szeregi wojskowej karawany, której bagaże były przewożone na wielbłądach, będącej częścią oddziału wracającego z obozowiska na wsi do miasta. Wkrótce dotarliśmy do końca doliny Pendżab i wspinając się w górę drogą o nieskończonej ilości zakrętów, weszliśmy na przełęcz Himalajów. Wzniesienie stawało się coraz bardziej strome. Za nami, niczym piękna panorama, rozpościerała się

kraina, którą właśnie przemierzyliśmy, a która zdawała się od być od nas coraz dalej i dalej. Gdy ostatnie promienie słońca spoczęły na szczytach gór, nasza *tonga* wyszła wesoło z zygzaków, które oko mogło jeszcze śledzić, daleko w dół pokrytego lasem zbocza, i zatrzymała się w małym miasteczku Muré, dokąd przybywały rodziny angielskich urzędników, by szukać cienia i odpoczynku.

Zwykle można udać się *tongą* z Muré do Śrinagaru, ale wraz z nadejściem pory zimowej, kiedy wszyscy Europejczycy opuszczają Kaszmir, usługi przewozu *tongą* są zawieszane. Podjąłem się mojej podróży dokładnie w czasie, kiedy żywiołowość życia letniego zaczyna słabnąć, a Anglicy, których spotkałem na drodze, wracając do Indii, byli bardzo zdumieni moim widokiem i bezskutecznie starali się dociec celu mojej podróży do Kaszmiru.

Porzucając *tongę*, wynająłem osiodłane konie – nie bez znacznych trudności – i nadszedł wieczór, kiedy zaczęliśmy schodzić z Muré, znajdującego się na wysokości pięciu tysięcy stóp. Ten etap naszej podróży nie miał w sobie nic zabawnego. Droga była poryta głębokimi koleinami przez późne deszcze, nastąpiła ciemność, a nasze konie raczej zgadywały jak iść, niż rzeczywiście widziały drogę. Gdy zapadła noc, burzliwy deszcz zaskoczył nas na otwartym terenie, a dzięki gęstemu listowiu stuletnich dębów, stojących po bokach naszej drogi, pograżyliśmy się w głębokiej ciemności. Aby nie zgubić się nawzajem, od czasu do czasu nawoływaliśmy się. W tej nieprzeniknionej ciemności dostrzegliśmy ogromne masy skalne zwisające niemalże nad naszymi głowami i byliśmy świadomi, że po naszej lewej stronie płynie rwący potok, którego woda tworzy niewidoczną dla nas kaskadę. Przez dwie godziny brodziliśmy w błocie, a lodowaty deszcz zmroził mnie do szpiku kości. Wtem w oddali dostrzegliśmy małe ognisko, którego widok rozbudził nasze siły. Ale jakże zwodnicze są światła w górach! Wydaje ci

się, że widzisz ogień płonący całkiem blisko ciebie, a on w jednej chwili znika, by pojawić się ponownie, na prawo, na lewo, powyżej, poniżej, jakby czerpał przyjemność z płatania figli znękanemu podróżnikowi. Na całej swej długości droga posiada tysiąc zakrętów, wije się tu i tam, a płomień pochodni, który jest nieruchomy, wydaje się być w ciągłym ruchu, bo ciemność nie pozwala ci zdać sobie sprawy, że sam w każdej chwili nadasz mu kierunek.

Już całkiem straciłem nadzieję na zbliżenie się do tego upragnionego ognia, gdy pojawił się on ponownie, tym razem tak blisko, że nasze konie zatrzymały się przed nim.

Muszę tutaj wyrazić moje szczerze podziękowania Anglikom za dalekowzroczność, której dali dowód budując przy drogach małe, jednopiętrowe domy na wzór *bungalowów* dla schronienia podróżnych. Prawdą jest, że nie należy wymagać komfortu w tego rodzaju hotelu; ale jest to sprawa, w której podróżny, przygnieciony zmęczeniem, nie jest wymagający, a to, że ma do swojej dyspozycji czysty i suchy pokój, jest szczytem szczęścia.

Hindusi, bez wątpienia, nie spodziewali się zobaczyć podróżnego przybywającego o tak późnej porze i w takim okresie, ponieważ zabrali klucze do tych domków, więc musieliśmy dostać się do nich inaczej. Rzuciłem się na przygotowane dla mnie łóżko, składające się z poduszki i koca nasączonego wodą, i prawie natychmiast zasnąłem. O świcie, po wypiciu herbaty i zopatrzeniu się w konserwy, ponownie podjęliśmy marsz, teraz już skąpani w palących promieniach słońca. Od czasu do czasu mijaliśmy wioski; pierwszą we wspaniałej wąskiej przełęczy, potem wzdłuż drogi wijącej się między górami. Zeszliśmy w końcu do rzeki Dzelum, której wody płyną z wdziękiem, pośród skał, które powstrzymują jej bieg, pomiędzy skalnymi ścianami, których szczyty w wielu miejscach wydają się prawie sięgać

lazurowego nieba Himalajów, nieba, które tutaj pokazuje się niezwykle czyste i pogodne.

Przed południem dotarliśmy do wioski zwanej Tongue – położonej na brzegu rzeki – której widok przedstawia niezwykle zestaw chat, dających efekt pudełek, których otwory tworzą fasadę. Tutaj sprzedawane są smakołyki i wszelkiego rodzaju towary. Miejsce to roi się od Hindusów, którzy noszą na czołach różnokolorowe znaki swoich kast. Można też zobaczyć tu pięknych ludzi z Kaszmiru, ubranych w swoje długie białe koszule i śnieżne turbany. Wynająłem tutaj, za dobrą cenę, hinduski pojazd od Kaszmirczyka. Pojazd ten jest tak skonstruowany, że aby utrzymać się w nim na miejscu, trzeba skrzyżować nogi na modłę turecką. Siedzenie jest tak małe, że zmieszczą się na nim najwyżej dwie osoby. Brak jakiegokolwiek oparcia dla pleców czyni ten środek transportu bardzo niebezpiecznym; mimo to, zaakceptowałem ten rodzaj okrągłego stołu zamontowanego na dwóch kołach i ciągniętego przez konia, ponieważ zależało mi na jak najszybszym dotarciu do końca mojej podróży. Ledwie jednak przebyłem na nim pięćset metrów, a już poważnie pożałowałem konia, którego porzuciłem, tak bardzo musiałem się męczyć, trzymając skrzyżowane nogi i utrzymując równowagę. Niestety, było już za późno.

Zapadał wieczór, gdy zbliżałem się do wioski Hori. Wyczerpany zmęczeniem i ciągłymi wstrząsami, z nogami jakby zaatakowanymi przez miliony mrówek, nie byłem w stanie cieszyć się malowniczym krajobrazem, jaki rozpościerał się przed nami, gdy jechaliśmy wzdłuż rzeki Dzelum, której brzegi z jednej strony ograniczone są stromymi skałami, a z drugiej mocno zalesionymi zboczami gór. W Hori natknąłem się na karawanę pielgrzymów wracających z Mekki.

Myśląc, że jestem lekarzem i widząc mój pośpiech, by dotrzeć do Ladakhu, zaprosili mnie, bym do nich dołączył, co obiecałem zrobić w Śrinagarze.

Spędziłem ciężką noc, siedząc w łóżku, z zapaloną latarką w rękę, nie mogąc zmrużyć oczu, w ciągłym strachu przed ukłuciami i ukąszeniami skorpionów i robactwa, od których roi się w *bungalowach*. Niekiedy wstydziałem się strachu, jakim napawało mnie to robactwo; mimo to nie mogłem tam zasnąć. Gdzież, doprawdy, jest w człowieku granica, która oddziela odwagę od tchórzostwa? Nie będę się chwalił swoją odwagą, ale nie jestem tchórzem, a jednak strach nie do pokonania, którym napawały mnie te małe złośliwe stworzenia, mimo ogromnego zmęczenia, odciągał sen od moich powiek.

Nasze konie zaprowadziły nas w płaską dolinę, otoczoną wysokimi górami. Skąpany w promieniach słońca, nie potrzebowałem wiele czasu, aby zasnąć w siodle. Nagłe uczucie świeżości przeniknęło mnie i obudziło. Zobaczyłem, że już zaczęliśmy wspinać się na górską ścieżkę, pośród gęstego lasu, w którego szczelinach od czasu do czasu otwierały się przed nami zachwycające widoki, rwące potoki, odległe góry, bezchmurne niebo, krajobraz, daleko w dole, o cudownym pięknie. Wszędzie wokół nas rozbrzmiewały pieśni niezliczonej ilości cudownie upierzonych ptaków. Wyszliśmy z lasu w południe, zeszliśmy do małej wioski na brzegu rzeki, a po orzeźwieniu się lekką, zimną kolacją, kontynuowaliśmy naszą podróż. Przed wyruszeniem poszedłem na bazar i próbowałem tam kupić szklanek ciepłego mleka od Hindusa, który przykucnął przed wielkim kotłem pełnym gotującego się mleka. Jakże wielkie było moje zdziwienie, gdy powiedział mi, abym zabrał cały kociołek wraz z jego zawartością, przekonując mnie, że zanieczyściłem umieszczone w nim mleko! „Chcę tylko szklanek mleka, a nie cały kociołek”, powiedziałem do niego.

„Zgodnie z naszymi prawami”, odparł kupiec, „jeśli ktoś nienależący do naszej kasty zatrzyma swój wzrok przez dłuższy czas na jednym z naszych naczyń kuchennych, musimy dokładnie umyć ten artykuł i wyrzucić jedzenie, które się w nim znaj-

duje. Zanieczyściłeś moje mleko i nikt więcej go nie wypije, bo nie tylko nie poprzestałeś na wpatrywaniu się w nie, ale nawet wskazałeś je palcem”.

Rzeczywiście długo badałem wzrokiem jego towar, aby upewnić się, że to naprawdę mleko, i wskazałem palcem kupcowi, z której strony chcę, aby mleko się wylało. Pełen szacunku dla praw i zwyczajów obcych ludów, zapłaciłem bez sprzeciwu rupię, cenę całego mleka, które wylano na ulicę, choć sam wziąłem tylko jedną szklankę. Była to lekcja, która nauczyła mnie, aby od tej pory nie przykuwać wzroku do jedzenia Hindusów.

Nie ma wierzenia religijnego bardziej zamaconego przez ilość praw obrzędowych, komentarzy i nakazów, aniżeli religia bramińska.

Podczas gdy każda z innych głównych religii ma tylko jedną natchnioną księgę, Biblię, Ewangelie lub Koran – księgi, z których żydzi, chrześcijanie i muzułmanie czerpią swoje *credo*, to hinduscy bramini posiadają tak wielką liczbę tomów i komentarzy *in folio*, że najmądrzejszy bramin nie miałby czasu przejrzeć nawet jednej dziesiątej z nich. Pomijając cztery księgi Wed; Purany – które są napisane w sanskrycie i składają się z osiemnastu tomów – zawierających czterysta tysięcy strof traktujących o prawach, teogonii, medycynie, stworzeniu i zniszczeniu świata itd.; komentarze do Wed, Upaniszady, objaśnienia do Puran – i wiele innych komentarzy ujętych w kilku tomach; prócz tego pozostaje jeszcze dwanaście obszernych ksiąg zawierających prawa Manu, wnuka Brahmy. Są to księgi traktujące nie tylko o prawie cywilnym i karnym, ale także o regułach kanonicznych, a więc zasadach, które nakładają na wiernych tak znaczną liczbę obrzędów, że przy zetknięciu z tym, człowiek jest zaskoczony podziwem dla niewyczerpanej cierpliwości, jaką Hindusi okazują w przestrzeganiu nakazów wpojonych im przez świętego Manu. Manu był bezsprzecznie wielkim prawodawcą i wielkim myślicielem, lecz napisał on

tak wiele, że często zdarzało mu się przeczyć samemu sobie nawet na jednej i tej samej stronie. Bramini nie zadają sobie trudu, aby to zauważyć, a biedni Hindusi, których praca podtrzymuje kastę bramińską, posłusznie słuchają swoich duchownych, których przepisy nakazują im, aby nigdy nie dotykać człowieka, który nie należy do ich kasty, a także absolutnie zabraniają obcym skupiać swą uwagę na jakiegokolwiek rzeczy należącej do Hindusa. Trzymając się ściśle litery tego prawa, Hindus mniema, że jego pożywienie jest nieczyste, gdy ktoś nieznamy spogląda na nie zbyt długo.

A jednak braminizm był, nawet na początku swego odrodzenia, religią czysto monoteistyczną, uznającą tylko jednego nieskończonego i niepodzielnego Boga. Jak to bywało we wszystkich czasach i religiach, duchowieństwo wykorzystowało uprzywilejowane położenie, które stawia je ponad nieświadomym tłumem i wcześniej wytworzyło różne zewnętrzne formy kultu i pewne prawa, myśląc, że w ten sposób będzie mogło wpływać na masy i panować nad nimi. Wkrótce rzeczy zmieniły się tak dalece, że zasada monoteizmu, o której Wedy dały tak jasne pojęcie, została pomieszana, lub jakby wręcz wyparta przez absurdalny i bezgraniczny szereg bogów i bogiń, półbogów, dżinów i diabłów, którzy byli reprezentowani przez bożki, o nieskończonej różnorodności, ale wszystkie jednakowo okropnie wyglądające. Lud ten, niegdyś chwalebny, tak jak niegdyś wielka i czysta była jego religia, teraz stopniowo popada w zupełny idiotyzm. Cały ich dzień ledwie wystarcza na wykonanie wszystkich religijnych obrządków. Trzeba powiedzieć z całą stanowczością, że Hindusi żyją tylko po to, aby wspierać swą główną kastę, braminów, którzy trzymają w swoich rękach całą doczesną władzę, niegdyś znajdującą się w posiadaniu niezależnych władców ludu. Rządzący Indiami Anglik nie miesza się do tej sfery życia publicznego, a więc bramini zyskują przez podtrzymywanie nadziei ludu na lepszą przyszłość.

*Dalsza część książki dostępna w wersji  
pełnej.*

